

Martine Madden

Arhusz

*Piękne i zapadające w pamięć dzieło*

— DONAL RYAN



Martine Madden

# AntusZ

Przełożył  
Jakub Kowalczyk



TYTUŁ ORYGINAŁU:

*Anyush*

Redaktor prowadząca: Aneta Bujno

Przekład i kompleksowe przygotowanie książki do druku:

A PROPOS Serwis Wydawniczy Anna Sikorska-Michalak

[apropos.info.pl](http://apropos.info.pl)

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © Mettus (Shutterstock)

Mapa: Keith Barrett, Design Image

Copyright © Martine Madden 2014

Original title: *Anyush*

First published by The O'Brien Press Ltd. under the Brandon imprint

This edition published by agreement with The O'Brien Press Ltd.

Copyright © 2017 for Polish edition by Wydawnictwo Kobiعة,

an imprint of ILLUMINATIO Łukasz Kierus

Copyright © for Polish translation by Jakub Kowalczyk

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2017

ISBN: 978-83-65506-62-7



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

[www.facebook.com/kobiece](http://www.facebook.com/kobiece)



WYDAWNICTWO  
**KOBIECE**

[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

Wydawnictwo Kobiعة

E-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

*Johnowi*

# Podziękowania

Jestem niezwykle wdzięczna i niezmiernie zobowiązana bardzo wielu osobom, które sprawiły, że ta książka ujrzała światło dzienne. W szczególności pragnę podziękować całemu zespołowi The O'Brien Press, zwłaszcza Michaelowi O'Brienowi, który podjął się ryzyka pójścia w nieznaną, Ivanowi, Ruth, Clare, Gráinne i Jamie, a także Emmie, która zaprojektowała przepiękną okładkę. Chcę wyrazić również ogromną wdzięczność wydawcy – wspaniałej Susan Houlden – za jej przychyłność, zaangażowanie i trafne sugestie.

Przekazuję podziękowania z głębi serca trójce cudotwórców: mojej serdecznej przyjaciółce Eileen Punch oraz Conorowi i Zhan-nie O'Clerym, bez których uprzejmości i szczodrości ta książka nigdy by nie powstała.

Kolejne podziękowania kieruję do Zarmine Zeitounian, która poprawiała mój koślawy ormiański, i do Keitha Barreta, który przygotował mapkę Imperium Osmańskiego.

Dziękuję Melisse Marshall i Gillian Stern, które z zacięciem czytały pierwsze wersje tekstu. Wasze miłe słowa i zachęta stoją u podstaw wszystkiego, co napisałam.

Chcę wyrazić ogromną wdzięczność dla całej rodziny i przyjaciół, których entuzjazm i wsparcie dla tej książki czasem przewyższyły moje własne. Wasza pomoc była nieoceniona. Pragnę też upamiętnić mojego ojca, Percy'ego O'Kennedy'ego, który jako pierwszy opowiadał mi piękne historie.

Mojemu drogiemu mężowi Johnowi i naszym pięciu cudownym córkom – tę książkę dedykuję właśnie wam.

Na koniec pragnę podziękować dwóm niezwykłym Ormianom: Houry'emu Belianowi i Salpy'emu Godgigianowi – ku jego pamięci.

Historia będzie na próżno szukać słowa... „Armenia”.

*Winston Churchill*



# Anhusz

Trapezunt, Imperium Osmańskie, wiosna 1915 r.

Zmiany przyszły do wioski razem z tureckimi żołnierzami. Było ich wielu; maszerowali dziarsko drogą, jakby chcieli ją ubić i wyrównać. Kobiety tuliły dzieci, a starcy odwracali głowy, wsłuchując się w echo kroków odbijające się od kamiennych ścian domów. Żołnierze pojawili się w Trapezuncie w październiku 1914 roku, a w samej wiosce – sześć miesięcy później. Świat pogrążony był w wojnie, więc wszyscy rozprawiali o niestrzeżonych granicach albo o inwazji rosyjskiej. Już wiele miesięcy wcześniej wszystkich młodych mężczyzn ze wsi ubrano w mundury i zabrano na wojnę, a rodziny nadal opłakiwały ich nieobecność. Jednak ci, którzy przyszli, nie byli stąd, nie byli Ormianami. Ich nadejście było jak uderzenie zimnego wichru.

Z kościelnych schodów przemarsz obserwowały dwie ormiańskie dziewczyny. Kiedy żołnierze skręcili na plac i ustawili się wzdłuż południowej pierzei zabudowań, obydwie poszły za kolumną. Niższa z nich, Sosi Talanian, niosła bochenek czarnego chleba. Gdy porucznik wykrzyczał komendę, przestraszyła się i chleb upadł jej na ulicę pełną pyłu. Setka kolb karabinów uderzyła w ziemię, wzbijając kłęby kurzu wokół żołnierskich butów. Chleb natychmiast zniknął w pysku głodnego psa, który chyba jako jedyny nie zwracał uwagi na wojsko. Anhusz Czarkudian, wyższa z dziewczyn, odwróciła się



ku drodze. Po przeciwnej stronie, w drzwiach sklepu Tufenkiana, stała niewysoka kobieta, jej matka. Miała trzydzieści dziewięć lat, ale ponieważ była niezwykle szczupła, wyglądała na znacznie starszą. Patrzyła na żołnierzy wyzywająco, jednak jej twarz, schowana za chustką, była blada jak śmierć. Tę chwilę Anhusz zapamiętała na całe życie. Nigdy nie była w stanie wyrzucić jej z pamięci. Zrozumiała, że jej matka umiera ze strachu.



Anhusz przeszła przez zardzewiałą furtkę i podążyła porośniętą chwastami ścieżką do zagrody Talanianów. Kiedyś mieli oni kozę, dwie świny z prosiętami, krowę, która dawała im mleko, i porządny kurnik pełen kur, ale w 1914 roku wszystko się zmieniło. Ojciec Sosi i jej dwóch starszych braci zostali wcieleni do tureckiej armii i od tamtej pory pani Talanian starała się sama prowadzić gospodarstwo na tyle, na ile mogła. Dziewięć miesięcy, odkąd przestały przychodzić listy, kobieta nadal nie miała o nich żadnych wieści i całkiem się poddała. Świny zniknęły – jedną sprzedała, a drugą zjedli, więc chlewik stał pusty. Koza również przepadła, a koń był za stary, żeby mógł się do czegokolwiek nadawać. Dom, podobnie jak sama pani Talanian, wyglądał, jakby uległ naporowi czasu i zapadł się w sobie. Dach z czerwonych dachówek osunął się w połowie, a dzikie pnącza oplotły jego podbicie i wpełzły pod okap, zwieszając swoje zielone macki przez okno do środka izby, w której Sosi spała z Hawat, swoją siostrą. Najbardziej wilgotny kąt jednego z pokoiów na dole opanował grzyb, a okiennice się poluzowały i po części poodpadały. Anhusz, przechodząc wzdłuż okna, pchnęła jedną z nich, a ta, przeżarta rdzą, odpadła z chrzęstem na ziemię. W obejściu spotkała najmłodszego z dzieci Talanianów, jedenastoletniego Keworka, który właśnie wychodził z obórki z widłami w ręku.

– *Pari luks*, Anhusz – przywitał się, wlepiając wzrok w zakryty koszyk, który trzymała.

– *Luks pari*, Kework. Gdzie są pozostali?

– Sosi i mama są w wiosce. A Hawat tam.

Hawat zeskoczyła z huśtawki wiszącej w stodole i podeszła do nich.

– Co tam masz? – zapytał Kework, wskazując głową na koszyk.

– Sam spróbuj.

Chłopiec podniósł wieczko i wciągnął głęboko smakowity zapach. Wziął palcami smakołyk i zjadł, uśmiechając się do siebie.

– Twoja babcia robi przepyszne *kamsi köfte* – powiedział, dając kawałek swojej siostrze.

Usiedli pod dębem, jedząc mięsne kulki z sardelami, aż pochłonęli wszystkie do ostatniego okruszka.

W powietrzu rozszedł się zapach ryby, więc zaintrygowane nim gęsi Talanianów podniosły łebki.

– Nie zostało nic dla ciebie. – Kework się zaśmiał.

– Chcę więcej – odezwała się Hawat, z okruciami na brodzie.

– Ale nic więcej nie ma, Hawi, więc przestań się ślinić.

Chłopiec wytarł obcesowo siostrze brodę końcem rękawa.

– Później pójdziemy po jajka. Może znajdziemy jakieś na kolację.

Wiedzieli jednak, że kury przestały się nieść, więc Talanianowie żyli z ostatnich już kurczaków i tego, co dali im sąsiedzi.

– Przyniosę coś jutro – obiecała Anhusz. – Może pilaw.

Hawat się uśmiechnęła, wypychając językiem dolną wargę, a oczy jej się zaświeciły na szerokiej buzi. W wiosce przezywali ją Mongołką, ponieważ jej twarz przypominała twarze mongolskich jeźdźców, którzy przybywali z dalekich rosyjskich stepów, najeżdżając Rize i Trapezunt. Wieśniacy mawiali, że jej matka była za stara na dzieci, kiedy ją rodziła, ale ku zdziwieniu wszystkich potem zaszła w ciążę jeszcze raz i urodziła Keworka, który okazał się zdrowym chłopcem.

– Pani Stewart pytała o ciebie – zwróciła się do niego Anhusz. – Chciała wiedzieć, dlaczego nie byłeś w szkole.

– Pracuję teraz w gospodarstwie. Muszę pomagać mamie.

– Jutro będą rozdawać nagrody. Może nie powinnam ci mówić, ale chyba jest coś dla ciebie.

Kework rzucił na nią okiem.

– Medal?

Anhusz kiwnęła głową potwierdzająco.

– Byłeś pierwszy.

Chłopiec zastanawiał się przez chwilę.

– Daj go Sosi. Ja mam robotę.

– Wydaje mi się, że twój tata chciałby, żebyś sam go odebrał.

– Tata by wołał, żebym się zajął gospodarstwem.

Pan Talanian, jak wielu innych wieśniaków, nie potrafił czytać ani pisać, ale zachęcał swoje dzieci do nauki. Przyjaźnił się z ojcem Anhusz od dziecka, był też dalekim krewnym jej matki. Anhusz nie znała swojego ojca. Był dla niej jedynie portretem wiszącym przy drzwiach i pędzlem do golenia, który stał u niej w izbie. Pozował do zdjęcia w sztywnym kołnierzu i marynarce, stojąc obok matki, siedzącej w tradycyjnym stroju ormiańskim. Oboje wpatrywali się uroczyście w obiektyw, jak dwoje nieznanym, którymi zresztą dla siebie byli. Dagerotyp wyblakł i pozieleniał, tracąc odcień sepia; sprawiał teraz wrażenie obrazu z innego świata. Nie umniejszało to jednak życzliwości spojrzenia ojca czy połysku jego gęstych, brunatnych włosów. Anhusz obdarzała mężczyznę ze zdjęcia taką miłością, jaką może czuć córka kochająca ojca, którego nigdy nie poznała. Byli do siebie podobni, oprócz wzrostu, ponieważ jej ojciec był nieprzeciętnie wysoki. Mieli takie same ciemne oczy i włosy. Ich wspólne podobieństwo było dla niej źródłem wielkiego ukojenia, dlatego kiedy inne dziewczęta z wioski w wieku lat dwunastu upinały włosy do góry, Anhusz zaczesywała swoje gładko i zaplatała w gruby

warkocz, który wystawał jej spod chustki i kołysał się między łopatkami jak ogon wielkiego kota.

– Popchniesz mnie? – zapytała Hawat, wzięła Anhusz za rękę i pociągnęła do stodoły.

Usiadła na siedzeniu, a Anhusz stanęła za nią i zaczęła ją delikatnie popychać.

– Mocniej.

Lina zaskrzypiała, a belki, do których przymocowana była huśtawka, jęknęły. Stopy Hawat przecinały chłodne powietrze.

– Wyżej! – krzyknęła, wyciągając się do tyłu.

Stara stodoła zdawała się wyłamywać z fundamentów, a belki z każdym bujnięciem wysuwały się coraz bardziej z ziemi.

– Mocniej!

– Spadniesz, Hawi – ostrzegła Anhusz, popychając ją mocno.

Gwałtowne zgrzytnięcie metalu poderwało do lotu jaskółki siedzące na krokwiach. Anhusz schwyciła liny i zatrzymała huśtawkę z Hawat. Kework, który pracował w ogrodzie, rzucił widły i zaciekawiony wyszedł na ścieżkę. Od kiedy sprzedali dwukólkę, nikt nie otwierał bramy; na drogę wychodzono po prostu przez dziurę w kruszącym się murze. Zawiasy zardzewiały na powietrzu przesyconym solą morską, więc zgrzytnęły przeciągle, kiedy grupa żołnierzy usiłowała otworzyć bramę. Mundurowi weszli do ogrodu w chwili, kiedy Anhusz i Hawat wyłoniły się ze stodoły. Wyglądali nieprzyjaźnie i niebezpiecznie. Jeden z nich podszedł do chłopca. Był chudy i wcale nie wyższy niż Kework. Miał szczupłą twarz, długi nos i wąsko rozstawione oczy, podobne do szczurzych: jedno brązowe i jedno szaroniebieskie.

– Mieszkaś tu?

Kework pokiwał głową.

– A ty? – żołnierz zapytał Anhusz.

– Mieszkam po sąsiedzku.

Szczur odwrócił się do towarzyszy.

– Odwiedziny! Lubię się zajmować gośćmi! – zaśmiał się i znów spojrział w stronę dziewczynek. – Przyszliśmy po jedzenie. Zabieramy wszystko, co jest. Idźcie do domu i przynieście wszystko.

– Ale tu nie ma jedzenia – odpowiedziała Anhusz.

– Kłamiesz.

– Ale to prawda. Tu nic nie ma.

– Przeszukać dom! – rzucił rozkaz Szczur, więc jego podkomendni zniknęli wewnątrz.

– To ruina – stwierdził jeden, wychodząc z pustymi rękoma. – Nic tu nie ma do żarcia. Nawet ziemianka jest pusta.

Z okna na górze sfrunęły ubrania, a za nimi z głuchym odgłosem wypadły ciężkie buty.

– Zabieram je – powiedział żołnierz stojący w oknie.

Hawat, chowająca się za Anhusz, zaczęła płakać.

Trzeci z żołnierzy pojawił się w drzwiach, niosąc zdjęcie w ramce.

– Nie! – krzyknął Kework. – To mój ojciec!

Żołnierz odepchnął chłopca, ale ten nadal usiłował mu wyrwać fotografię.

– Oddaj!

– Odejdź, szczeniaku!

– To moje!

– No to masz!

Żołnierz rozbił szybkę o ścianę stodoły i zabrał srebrną ramkę. Kework podniósł podartą fotografię, pokrytą odłamkami szkła.

– Przetrząsnijcie obejście – zarządził Szczur i dwóch żołnierzy zniknęło w chlewiku i stodole.

– Pusto – zameldował jeden z nich. – Zostało jedynie stare świńskie łajno.

– W stodole jest tylko kilka kur. Nic więcej.

– To je weźcie. Idź z Sanayim i ukręćcie im łby.

Podkomendni weszli do stodoły i zamknęli za sobą wrota. Wszyscy stojący na podwórku mogli usłyszeć trzepot skrzydeł

i cięcia siekierą, a potem ciszę. Wrota otworzyły się ponownie i ze stodoły wyłonił się żołnierz z czterema kurczakami bez głów.

– Posłuchaj no, dzieciaku, gdzie jest reszta zwierząt? – zapytał Szczur.

– Tu nic nie ma – powtórzyła Anhusz. – Nic już nie zostało do zabrania.

– Nie pytam się ciebie, tylko chłopaka. On tu wygląda na gospodarza. Tak?

Kework skinął głową.

– No to gdzie one są?

Kework milczał.

– Patrzcie – wtrącił nagle jeden z żołnierzy. – Gęś.

Rozłożył ramiona i pochylony ruszył na ptaka, a wtedy gęś rozpostarła skrzydła i zaczęła nimi uderzać, sycząc i pluając. Żołnierz odskoczył, a jego towarzysze zaczęli się śmiać.

– Co ty, Hanim, boisz się gęsi?

– To ją złap.

– No to patrz.

– Nie zabierajcie jej – odezwała się Anhusz. – Proszę... Nie mamy nic więcej.

– No chodź tu, gąsko – mówił pod nosem żołnierz, zdejmując płaszcz. – O, tak.

Gęś zaczęła ponownie bić skrzydłami, obniżyła głowę i ruszyła na mężczyznę, lecz ten się nie cofnął, tylko zarzucił na nią płaszcz. Musiał jednak przygnieść szamoczącego się ptaka, więc zaczął wołać kolegów na pomoc.

Kework pobiegł w jego stronę z krzykiem, ale jakaś silna dłoń złapała go za kołnierz i rzuciła na pełne pyłu podwórko.

– Daj mi siekierę – powiedział Szczur.

Zdjął z gęsi płaszcz, a dwóch żołnierzy rozciągnęło jej szyję na kawałku drewna.

– Trzymajcie dobrze.

Podniósł siekierę nad głowę i opuścił na szyję gęsi. Ciepła krew trysnęła, jakby sama była żywym stworzeniem, ochlapując ich ubrania, ręce i twarze. Jeden z pomocników otworzył usta i zlizwał krew, podczas gdy Szczur trzymał bezgłowe ciało w górze jak trofeum.

W tym momencie podbiegł do niego Kework, gryząc i kopiąc ile sił.  
– To szczeniak jeden!

Szczur z rozmachu uderzył chłopca pięścią w twarz. Hawat krzyknęła, a oszołomiony Kework upadł. Po chwili wstał, podszedł chwiejnie do Szczura, lecz kolana odmówiły mu posłuszeństwa, osunął się na nie i zaczął wymiotować. Anhusz ruszyła, by mu pomóc, jednak Szczur był szybszy: zaczął raz po raz okładać chłopca pięściami.

– Zostaw go! Zostaw go natychmiast!  
– Hanim... uspokój się... to tylko dzieciak.

Szczur odchrząknął i znowu podniósł pięść, by uderzyć nieprzytomnego chłopca raz jeszcze, a wtedy Anhusz uniosła widły i wbiła mu w piętę buta. Szczur wrzasnął, odwracając się ku niej, i wyciągnął widły. Upadł na bok, chwycił się za but i sprawdził, jak mocno został zraniony.

– Ormiańska suka! – zaklął, patrząc, jak krew przecieka przez skórzany but. – Moja kostka!

Podniósł się i stanął na zranionej nodze. But ją stabilizował, więc żołnierz sprawdził, czy może chodzić.

– Teraz ci pokażę. Nie zapomnisz tego do końca życia.  
Utykając, skierował się do stodoły i zaraz wyszedł z liną w rękę.  
– Trzymajcie ją!  
– Hanim...  
– Powiedziałem, trzymajcie ją!

Zawiązał na linie pętlę i przerzucił ją przez konar dębu.

– Dawajcie tu chłopaka.  
– Nie... Boże, nie...

Anhusz poczuła, jak miękną jej kolana, ale żołnierze trzymali ją mocno. Kework jęczał, kiedy postawili go na nogi i pociągnęli pod drzewo.

– Proszę... – mówiła prawie bezgłośnie Anhusz. – Proszę...  
Przepraszam. Błagam was.

Hawat, stojąca pod stodołą, krzyczała głośno imię brata:

– Kewo!... Kewo!

Szczur związał ręce chłopca na plecach, założył mu pętlę na szyję i mocno ją zacisnął. Ucisk liny przywrócił chłopcu przytomność. Kework zakolysał się na nogach i zaczął łapczywie chwytać ustami powietrze.

– Patrzysz na to, suko?

Szczur pociągnął za drugi koniec liny tak, że Kework musiał stanąć na czubkach palców. Jego twarz zrobiła się czerwona, a potem zaczęła ciemnieć. Chłopiec z trudem oddychał, ale Szczur ponownie szarpnął liną, patrząc w oczy Anhusz.

– Podoba ci się to?! Już nie jesteś taka odważna, co?!

Kework łapał powietrze otwartymi ustami i wypychał wargi językiem. Anhusz szlochała, a Hawat zasłoniła oczy rękami.

– A to dopiero początek, suko. Ty będziesz następna.

– Hanim!

Na podwórko wjechało dwóch żołnierzy na koniach. Szczur puścił linę, a Anhusz podbiegła do Keworka, który ciężko upadł na ziemię.

– Co tu się dzieje?

– Zostaliśmy zaatakowani, kapitanie. Chcieliśmy tylko zabrać gęś, a oni rzucili się na nas z widłami.

Kapitan Orfalea się rozejrzał. Był młodszy niż wielu jego podwładnych i wyraźnie się od nich odróżniał. Miał schludny, dopasowany mundur i czyste, wypastowane buty. Nie nosił wąsów ani brody, a jego proste, czarne włosy były zaskakująco długie.

– Zostaliście zaatakowani... – stwierdził pogardliwie. – Pięciu. Przez dwie dziewczynki i chłopczyka.



Żołnierze rozglądali się niepewnie, ale Szczur patrzył na kapitana z ponurą miną.

– Nie chciałem mu nic zrobić. Tylko trochę nastraszyć.

Kapitan podjechał do miejsca, gdzie na ziemi leżał Kework. Chłopiec miał złamany nos, jego twarz była posiniaczona i nabrzmiała, szyję owijała mu zakrwawiona lina.

– Poruczniku, odprowadźcie tych ludzi do obozu.

– Zaatakowała mnie! – rzucił Szczur. – Miałem prawo się bronić.

– I zamknijcie kaprała Hanima w areszcie, dopóki nie zdecyduję, co z nim zrobić.

Żołnierze poszli ścieżką za porucznikiem, a kapitan podszedł do Anhusz, która pochylała się nad Keworkiem.

– Już w porządku?

Anhusz kiwnęła głową. Pomogła chłopcu usiąść i rozpięła mu guzik koszuli. Kapitan rozejrzał się po podwórku, zauważył rozbite szkło i okaleczoną gęś.

– Niech przez jakiś czas chłopak zostanie w domu. A na przyszły raz nie bierzcie do ręki widel.

Anhusz podniosła się chwiejnie.

– Następnym razem wsadzę mu je w bebechy.

*Dziennik dr. Charlesa Stewarta  
Konstantynopol, 14 kwietnia 1900 r.*

*Przybyliśmy do Konstantynopola dwa tygodnie temu. Deszcz padał niemiłosiernie i miałem poczucie, że na powrót jestem w zimnym Nowym Jorku. Hetty i ja byliśmy wycieńczeni podróżą, więc widok Eliasa Riggsa, czekającego na nabrzeżu, przyniósł nam niewymowną ulgę. Nie wiem już sam, czego oczekiwałem od podstarzałego, amerykańskiego misjonarza, ale nie wyobrażałem sobie, że może się w nim mieścić tak wiele energii i że jest taki wysoki. Przez czterdzieści lat z okładem pracował na rzecz Imperium jako dok-*

tor, ale kiedy mu opowiadałem o planach dotyczących badań nad jaglicą, zdawało mi się, że zamiast słuchać woli rozprawiać o godzinach nabożeństw w okolicznie położonych kościołach. To niezwykle pobożny człowiek, co, rzecz można, wpędza nas z wolna w niejaką niezręczność. Zgodziłem się jednakże przyjąć posadę doktora „misionarza”. Kiedy wspomniałem o tym po raz pierwszy mojej Hetty, ona zaśmiała się, że jestem przecież ateistą, a ona – żydówką. Owszem, chadzamy czasem na msze, przynajmniej niektóre, ale moim zdaniem Elias zaczął już podejrzewać, że nie jestem tym, za kogo mnie uważał. Przez moment wyglądało na to, że powziął zamiar odesłania nas z powrotem, ale potrzeby jego kliniki okazały się zbyt wielkie, a ponadto znalazł nić porozumienia z Hetty.

Naszym celem jest niewielka wioszczyna w okolicach Trapezuntu, leżącego nad samym Morzem Czarnym. Z tego, czego do tej pory się dowiedziałem, miejsce to jest położone niedaleko Trapezuntu, większego miasta i ważnego portu morskiego. Wioska z kolei leży w samym środku regionu, najbardziej chyba w tym kraju toczonego jaglicą, co każe spodziewać się trudów i nawału pracy.

Przez krótką chwilę mieszkaliśmy w dzielnicy Pera, w alei Istiklal. Nie było to miejsce przesadnie luksusowe, ale czyste i spełniające nasze potrzeby, no i po europejskiej stronie Bosforu. Ledwo trzy izby, któreśmy dzielili z grecką posługaczką, tureckim sługą (prawdziwy „siedem fachów – ósma bieda”, niech go diabli) i polskim kucharzem. Za to Hetty, czyli moja chanum<sup>\*</sup>, jak tu na takie mesdames wołają, jest w swoim żywiole. Nie może praktykować leczenia, jako że kobiety lekarze mogą leczyć jedynie w haremach, ale co dzień od świtu szkicuje ruiny starego Konstantynopola. Łatwo jest mi zrozumieć jej fascynację. Ladacznica Orientu bez dwóch zdań zasługuje na to miano i jest na równi wspaniała, co upadła.

Na dowolnie wybranej ulicy znaleźć można obrazy zapierające dech w piersiach. Poraża wielkość meczetu Świętej Zofii czy przepych

<sup>\*</sup> Chanum lub bayan (tur.) – pani.

pałacu Topkapi, lecz za chwilę tuż za rogiem natrafiam na godne pożalowania zagrodki sklecone na ruinach domów, zniszczonych w 1894 roku przez trzęsienie ziemi. Po europejskiej stronie Bosforu, wzdłuż eleganckich bulwarów ciągnie się, rzec można, Paryż w miniaturze, z kolei po drugiej stronie okryte burkami kobiety chadzają trzy kroki za swymi małżonkami, a słowo Proroka króluje niepodzielnie. Jak mawia Elias, to miasto kontrastów i przeciwności.

Poczyniliśmy pewne przyjaźnie, zwłaszcza z amerykańskim ambasadorem Henrym Morgenthauem i jego małżonką Josephine. Są Żydami, więc Hetty czuje się u nich jak w domu, a Henry ma nader interesujące i stymulujące usposobienie. Życie prowadzi po królewsku i ma zacząć piwniczkę, bawi go więc, że „biedny doktor misjonarz” ma niezwykłą słabość do dobrego bordeaux. Państwo Morgenthau znają w Konstantynopolu w zasadzie wszystkich, począwszy od dyplomatów, a skończywszy na młodzianach, przybyszających tu na swoje Grand Tour, co zrodziło w nich determinację, byśmy tych wszystkich ludzi poznali. Ale jeszcze z nimi w niedalekiej przyszłości pobędziemy, gdyż Hetty jest przy nadziei, a rozwiązanie będzie na jesieni, stąd nasze plany podróżnicze musieliśmy odroczyć. Opóźnienie to jest tyle nieuniknione, co frustrujące, wydaje mi się jednak, że i tak zmuszono by nas do oczekiwania przez brak zezwolenia na dalszą podróż.

W tym kraju nic nie da się załatwić bez zaświadczeń i poświadczeń: pracować, budować i tak dalej. Elias doradza, bym uzbroił się w cierpliwość. Powiada, że kiedy przybył tu po raz pierwszy, stary padyszach zakazał wwozu zagranicznych pism i lamp gazowych w obawie przed zepsuciem umysłów swoich poddanych. Wbija mi zarazem do głowy, że jestem szczęściarzem, bo mam co czytać i mam lampy, żebym widział, co czytam. Amen!